

Leszek Mądzik i jego Scena Plastyczna KUL-u

TERESA BĘTKOWSKA

Dojrzałem do milczenia

Teresa Bętkowska: – Wędrując po świecie ze swoim teatrem plastycznym dużo Pan fotografuje. Niby przypadkowe, ale jakże przemyślane zdjęcia z podróży układają się jakby w teatr. W spektakli z zarysowaną dramaturgią; fotogramy złożone w sekwencje (np. skulony żebrak siedzący pod ścianą, a obok szkielet w tej samej pozycji; piękna twarz kobiety a obok czaszka) pokazują życie ludzkie w drodze do śmierci. Tyle że w tej drodze wyczuwa się majestat. Podniosłość. Sacrum. Wszystko, co jest równie ważne dla Sceny Plastycznej, którą założył Pan 32 lata temu przy lubelskim Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Czy fotografia to też Pana pasja? – pytam autora wystawy, którą niedawno obejrzałam w Japońskim Centrum Sztuki i Techniki Manggha w Krakowie; na jej otwarcie tłumnie ścignęła młodzież, nie brakło luminarzy kultury – dostrzegłam Krystynę Zachwatowicz, Adama Bujaka, żonę Tadeusza Kantora, Jerzego Zonia i Zygmunta Koniecznego.

Leszek Mądzik: – Dla mnie to zapis tego, co zaciekawia, skłania do refleksji. Nie ukrywam, często ona właśnie inspiruje do tego, co potem pokazuję na scenie. I choć nie jest najważniejszym elementem przy powstawaniu spektaklu, nie przekłada się dosłownie, to jednak w trakcie tworzenia wielokrotnie sięgam po zdjęcia, z których powstają kolaże będące repliką przeżyć duchowych, uważnie się im przyglądam, odtwarzam w pamięci wydarzenia, pejzaże.

– Znany jest Pan z tego, że nie lubi obnażać swego twórczego warsztatu.

– Rzadkość wypowiedzi wynika stąd, że bardziej niż słowom zawierzam temu, co przedstawiam w teatrze. A to z kolei pozostawiam ocenie widza.

– W spektaklach Sceny Plastycznej też nie ma słów. Krytycy zauważają, że ostatnie, jakie aktor wypowiedział pochodzą z „Ecce Homo” i brzmiały: „Dlaczego wywiodłeś mnie z łona?”.

– To było w trzecim przedstawieniu. Od tego czasu słów rzeczywiście nie ma. Dojrzałem wtedy do milczenia, tak jak inni dochodzą do elokwencji. I nie żałuję, że tak się stało. Wierzę bowiem, że znalazłem język porozumiewania się z drugim człowiekiem poprzez siłę dramaturgii obrazu, muzykę, nastrój, światło.

– Andrzej Wajda powiedział: „Tylko Mądzik potrafi tak operować światłem”.

– Scena Plastyczna swoistą przestrzeń, głębie, klimat, ale i dramaturgię postaci buduje między innymi światłem. Stąd moja obecność na każdym przedstawieniu; siedzę wśród widzów z mikrofonem i słuchawką po to, by podpowiadać tym, co sterują pulpitem światła, jak mają „malować” poszczególne sceny. To moje malowanie w teatrze wynika z potrzeby... bycia świadkiem. Pewnie to i egoistyczne, ale ja „od zawsze” byłem ogromnie ciekaw, jak ludzie postrzegają, co czują, co mówią patrząc na jakiś mój obraz. Tego w muzeum czy galerii nie da się podpatrzeć,



Leszek Mądzik – dyrektor Sceny Plastycznej KUL, reżyser. Absolwent kieleckiego Liceum Sztuk Plastycznych i historii sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Jego teatr brał udział w ponad 50 międzynarodowych festiwalach, wielokrotnie przywożąc z nich nagrody i wyróżnienia. Założyciel Galerii Sztuki Sceny Plastycznej KUL. W najbliższym czasie reżyser wraz ze swym teatrem odwiedzi USA.

nie mogłem też poznać reakcji odbiorców polichromii, jakich kilka popelnilem w świątyniach – a teatr taką szansę mi daje.

– Przeszał Pan malować?!

– Robię to rzadziej. Uprawianie malarstwa jest mi jednak potrzebne. Choćby po to, aby uciec od ogromnej dyscypliny, jaką narzuca teatr. Pracuję przecież nad spektaklem z dużą grupą ludzi, intensywnie. A jeszcze prowadzę warsztaty w kraju i zagranicą, także wykładam na uczelniach, m.in. KUL i Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej.

– Pomówmy o pejzażach pamięci (to Pana określenie), jakie odgrywają chyba najważniejszą rolę w Pańskim autorskim teatrze. Kiedy przeglądałam album o Scenie Plastycznej, pełen artystycznych zdjęć ze spektakli, ujętych w zamieszczonych w nim i te „klasyczne” – z rodzinnego albumu. Także wspomnienia z dzieciństwa. Zwłaszcza o tornistrze, który pół wieku temu zrobił z drewna dziadek żyjący pod Świętym Krzyżem w Górach Świętokrzy-

skich. Ten „tornister pamięci” rezonuje do dzisiaj...

– Czy to dziwi? Nie odkrywam niczego nowego, pamięć dla twórców jest karmą – że wymienię choćby Tadeusza Kantora. Dla mnie np. wciąż żywy jest obraz, a nawet zapach kieleckiej ulicy, na jaką z okna patrzyłem z początkiem lat 50. Tą ulicą pełną kocich łbów – a stał przy niej i szpital, i kostnica, i były trzy sklepy z trumnami – szły kondukt pogrzebowe. Przez intensywność tych żalobnych ceremonii (niektóre pogrzeby szły jak procesje, przygrywała im orkiestra, na poduszkach niesiono ordery – choć były i takie, że nikt nie szedł za trumną albo tylko kilka osób) wytworzył się w mojej psychice pejzaż karawanu. Przemijania. Oswajałem się ze śmiercią. Z czasem weszło mi to w krwiobieg – choć noszę w sobie wielką tęsknotę do radości. A że z wiekiem sięgam coraz częściej do korzeni, to oczywiście. Klamra się przecież zamyka...

– „Miłość, wiara, świętość, prerażenie, poczucie skończono-

ści, śmierć – oto, co zaludnia przestrzeń moich spektakli i w zasadzie cały czas, od początku 1969 roku do najnowszego spektaklu, robię jedno przedstawienie” – to Pana słowa.

– Nie dodać, nie ująć.

– Jest Pan twórcą najdłuższej istniejącego w kraju teatru autorskiego. Czy nie obawia się Pan rutyny?

– Każdą premierę przygotowuję z innymi aktorami, co jest ewenementem. Zapraszam do współpracy studentów, głównie młodszych lat. Ta formuła daje szansę budowania teatru wciąż na nowo, z niezawodowym zespołem. Komfort dzieciństwa! Młodzi grają pierwszy raz, ale i ja mierzę się jakby od początku. Kilka dni temu był nabór do nowego spektaklu, zgłosiło się około stu osób; „starzy” aktorzy jednak nie odchodzą, grają w poprzednich spektaklach.

– Wiele powstałych dawno przedstawień jest wznowianych. Np. „Zielnik”, który miał premierę 26 lat temu!

– Spektakle są odtwarzane wier-

nie, mimo że grają w nich już nowi ludzie. Ta sama muzyka wymusza te same zachowania; nigdy nie piszę scenariuszy – mam je w głowie.

– 32 lata Sceny Plastycznej KUL zapisały się 16 premierami. Gdyby to był teatr repertuarowy, można by rzec: miseria. Jednak nie repertuarem teatr stoi, a oryginalnością. Usłyszałam jednak, że Pana Scenę – koncentrującą się niemal obsesyjnie na pokazywaniu życia i śmierci, losu człowieka – zalicza się już do... klasycznych.

– To cieszy, ale i martwi. Coś nazwanego, to coś jakby skostniałego. Coś, co pozwala spać spokojnie, odcinać kupony. A ja nie śpię spokojnie, tkwi we mnie potrzeba odkrywania siebie, czuję, że mam jeszcze sporo do powiedzenia. Dlatego znów myślę o premierze. Dla mnie Tadeusz Kantor jest przykładem „spalania się do końca”. A czy 16 premier to mało? Tworzeniu sztuki towarzyszy cierpienie, niepokój, zmęczenie. Prawdą jest, że w latach 70. co roku przygotowywałem nowe przedstawienie, szybko z siebie wyrzucałem emocje. Teraz robię spektakl, gdy czuję potrzebę przykazania istotnego komunikatu. Język, którym się posługuję, pozostaje ten sam, ale szukam coraz prostszych środków przekazu; w malowaniu mam potrzebę barwy i intensywności koloru, na moich płótnach nie ma dramatu, tragedii, a jest tęsknota za błogostanem – w teatrze tak nie jest.

– Spektakle są skąpane w mroku, niemal w zupełnej czerni, pozabawione ozdóbek odwracających uwagę widza od rzeczy mało istotnych; przy ograniczonej możliwości widzenia znacznie silniej trzeba uruchamiać wyobraźnię.

– Ja tworzę obraz, a wyobraźnia widza go wzbogaca.

– Autorem Pana teatru jest też muzyka.

– Komponował dla Sceny m.in. Zygmunt Konieczny, Stanisław Radwan, Przemysław Gintrowski, Jacek Ostaszewski. Teraz dostałem piękny list od Wojciecha Kilara, jestem pełen nadziei na współpracę z wybitnym muzykiem...

– Czy uznawany za oryginalnego twórcę Leszek Mądzik może mówić o swoich mistrzach?

– Umarłą klasę zobaczyłem po raz pierwszy ćwierć wieku temu i wywarła na mnie takie wrażenie, że Kantor na długo (na zawsze!) pozostał dla mnie wielkim twórcą. Mistrzem był i Jerzy Nowosielski, którego „czytam” przez barwę i kolor – w sensie malarskim jestem odrostem od pnia, jakim jest jego twórczość. Jedną z wystaw rzeźb Aliny Szapocznikow dała mi z kolei impuls do przygotowania Zielnika.

Odległą, ale bardzo bliską mi postacią jest Leonardo da Vinci. Także Jan Paweł II. Notabene jeśli Karol Wojtyła był jednym z pierwszych, którzy zetknęli się z Mieczysławem Kotlarczykiem, to ja byłem tym ostatnim – przygotowywałem kilka scenografii do reżyserowanych przez niego w lubelskim teatrze spektakli, m.in. do Tryptyku staropolskiego wystawianego w 1968 roku. Ten fakt sprawił, że Papię kiedyś ze mną rozmawiał o pięć minut dłużej... □



Scena ze spektaklu Wrota snu

Zdjęcia – Archiwum